

Wspomnienia z Oceanu Atlantyckiego: pobyt na Wyspach Kanaryjskich

Pierwsza część Oceanu Atlantyckiego za nami. I pierwszy regatowy etap – również. Wygrały dziewczyny. Gratulacje!!! Było ciężko... Przeżyliśmy i 30-40 węzłowe porywy wiatru pod Maroko, i ogromne szare fale, i taki gwizd wokół, że brrr! Ale dałyśmy radę. A ja kolejny raz poczułam, że nie ma rzeczy niemożliwych: ani dla naszych mantr, ani dla nas samych.

Przed nami krótki odpoczynek na Wyspach Kanaryjskich. Najpierw przypluwamy na Lanzarote, do Puerto Calero, a potem - do Mariny Rubicon. Tu spotykamy się z Andrzejem (chyba nas lubi, skoro tak często z nami się spotyka). Aha. W tym porcie mają złote polery! Ogromne, świecące, jeszcze takich nie widziałam. Tylko do prysznic można zabłądzić.

Któregoś dnia jedziemy na wycieczkę. Andrzej zabiera nas na poznanie wyspy (widziałyśmy ją już trochę od strony Atlantyku, teraz z kolei - zobaczymy Atlantyk z innej perspektywy). Namówione, wsiadamy na wielbłądy. Są duże. Naszym namowom ulega również sam Andrzej (no co, tylko my mamy się męczyć?) Wielbłąd Andrzeja i Ani jest bardzo towarzyski i namolnie zaczepia Aśke... Najwyraźniej chce się z nią zaprzyjaźnić... Na szczęście ma coś na pysku, bo Asia – zdaje się - ma nieco odmienne zdanie o zawieraniu przyjaźni z wielbłądem... Na wielbłądzie najtrudniej jest wstać. A kiedy zwierzę wstanie to dopiero widać, że to trochę daleko od ziemi... Wielbłądy idą powiązane, jeden za drugim. Trasę znają chyba na pamięć. W pewnym momencie przewodnik puszcza linę (którą trzymał pierwszego garbusa) i mówi „noo, idź sobie...” I po chwili wielbłąd (jaki posłuszny!) już zaczyna biec. Taaak, bardzo śmieszne! (wspominałam, że na tym pierwszym wielbłądzie to my siedzimy?) Ale trzeba przyznać, że całkiem fajnie się jechało, chociaż trochę inaczej to sobie wyobrażałam. Na jednym wielbłądzie siadają dwie osoby. Siadają w takich specjalnych siodełkach, że nie odczuwa się garbu... Zupełnie inne wrażenie niż przy jeździe konnej, kiedy koń z klusa wchodzi w galop.. (zaraz... ja rozmarzyłam się? no może troszeczkę...)

Andrzej zawozi nas w niesamowite miejsce: na przepiękną plażę z czarnym piaskiem! Jak dla mnie - może mnie tu zostawić... Te fale oceanu bijące z hukiem o brzeg... Rany, jak tutaj jest pięknie! Mogę tu siedzieć i godzinami wpatrywać się w Ocean. I marzyć. Mimo, iż

niedługo znów będziemy na Oceanie! Ale to będzie już zupełnie inna perspektywa Oceanu... Każda z nas wykorzystuje tę chwilę po swojemu... ale nie byłybyśmy sobą, gdybyśmy nie zaczęły taplać się w wodzie... aż ogromne fale o mało nie porwały nam butów... Czas jechać dalej. Szkoda, bo bardzo chciałabym tu zostać...

Innym razem jedziemy zwiedzać inną część wyspy, gdzie mają taki ładny pomnik żeglarza na żaglówce... Polujemy na moment, kiedy w pobliżu nikogo nie ma... Chcemy zrobić fotkę, a chyba nie wolno. Wbiegamy na trawnik i... dostajemy ochrzan od jakiegoś strażnika (gdzie on się ukrył?). Ale za kolejnym razem udaje się i mamy upragnione foto.

Idziemy do olbrzymiego ogrodu kaktusów. Są tutaj - w jednym miejscu - setki, tysiące kaktusów! A każdy – innego kształtu: okrągłe i szpiczaste, płaskie i kuliste, obsypane kwiatami lub tylko kolcami, wznoszące się strzeliście ku niebu i płożące rozłożyście po ziemi... Sesja zdjęciowa trwa dłuższą chwilę, bo właściwie każdy z tych okazów chciałoby się mieć na pamiątkę... choćby na zdjęciu...

Kiedy wracaliśmy z wycieczki w rękach niosłam całe mnóstwo betów. Również swój aparat. W porcie nagle wypadł mi on ... prosto do wody... Zdążyłam tylko zobaczyć jak się otwiera, jak wylatuje z niego film, i jak znika w czarnej czeluści wody. W ułamku sekundy... tyle wspomnień zapisanych w obrazach – przepadło na zawsze. Czy byłam zła? Chyba nie muszę o tym pisać! Potem próbowałam zabrać się za mycie naczyń i ...przeciąłam sobie palucha.. No to Ania wyrzuciła mnie z kambuza, że niby coś jeszcze narozrabiam...

Żegnamy Andrzeja. Robimy jakiś klar... Mamy nowych gości – Grzesia i Violę (pewnie żeby nam za smutno nie było). I płyniemy do Gran Tarajal na Fuerteventurze. Kompletnie nic nie wieje, więc jedziemy na silniku, a przy okazji testujemy naszego nowego albercika. Przy wejściu do portu o mało co nie wrębaliśmy się w przeszkodę między główkami portu (jakieś nieoznaczone żelastwo, na dodatek z łańcuchem i liną rozciągniętą w taki sposób, że jakbyśmy na to wpłynęli to po nas). Zero oświetlenia! Masakra!!! Pierwszy raz coś takiego nam się przytrafiło, ale mieliśmy - kolejny raz – szczęście. A potem? Jeszcze nie zdążyliśmy zacumować, a na brzegu już czekali goście z karteczkami i opłatą. My do nich: „Halo, możemy najpierw zacumować?!” (inne słowa, jakie padały w tym momencie, opuszczę...) Oni na to: „O.K.” I stoją dalej. Cumowanie obu jachtów trochę trwało: mooringów nie ma, na kotwicy trzeba jakoś stanąć, cumy szpringi, odbijacze... Umówmy się: zajęło nam to trochę. Tym bardziej, że tak naprawdę to nigdzie nam się nie spieszyło, a do tego - jak ktoś na nas tak

patrzył i chciał poganiać - to spieszyło się nam jeszcze wolniej. W końcu jednak wypełniamy wszystkie papiery, podłączamy się do prądu i ... idziemy na piwko.

W okolicy oczywiście nie ma kompletnie nic. Nie ma nawet pryszniców - bo to już po sezonie. Codzienny prysznic odbywa się więc na kei. Pływamy po porcie. Wojtek uczy mnie nurkować (jestem kiepskim uczniem, ale – staram się). Jadamy w knajpie. Ta najbliższa – okazuje się być jakąś miejscową speluną. Następna - dość kawał stąd – trochę lepsza. Wrodzone lenistwo nie pozwala szukać nam dalej, więc zostajemy. Karty nie ma. Do zjedzenia: ryba (do wyboru: albo ichniejsza, której nazwy nie pamiętam, albo łosoś), kalmary i ośmiornice. I to zdaje się wszystko. Ale trzeba przyznać – przepyszne. Po kilku dniach znamy już cały repertuar serwowanych dań.

Tuż przed opuszczeniem Wysp Kanaryjskich żegnamy naszych gości (Julka i Wojtka) i znów zostajemy we cztery. Następuje zmiana w załogach: Asia postanowiła wrócić do kraju, a przyjechała Madzia Tatar - siostra Gosi. Na początek płyniemy tak, że na odcinku Kanary – Capo Verde ja jestem z Gosią, a Madzia – z Anią. Znów sztafowanie, sprzątanie, tankowanie... Wszak przed nami – kolejny kawał drogi!

Agata Mryczko